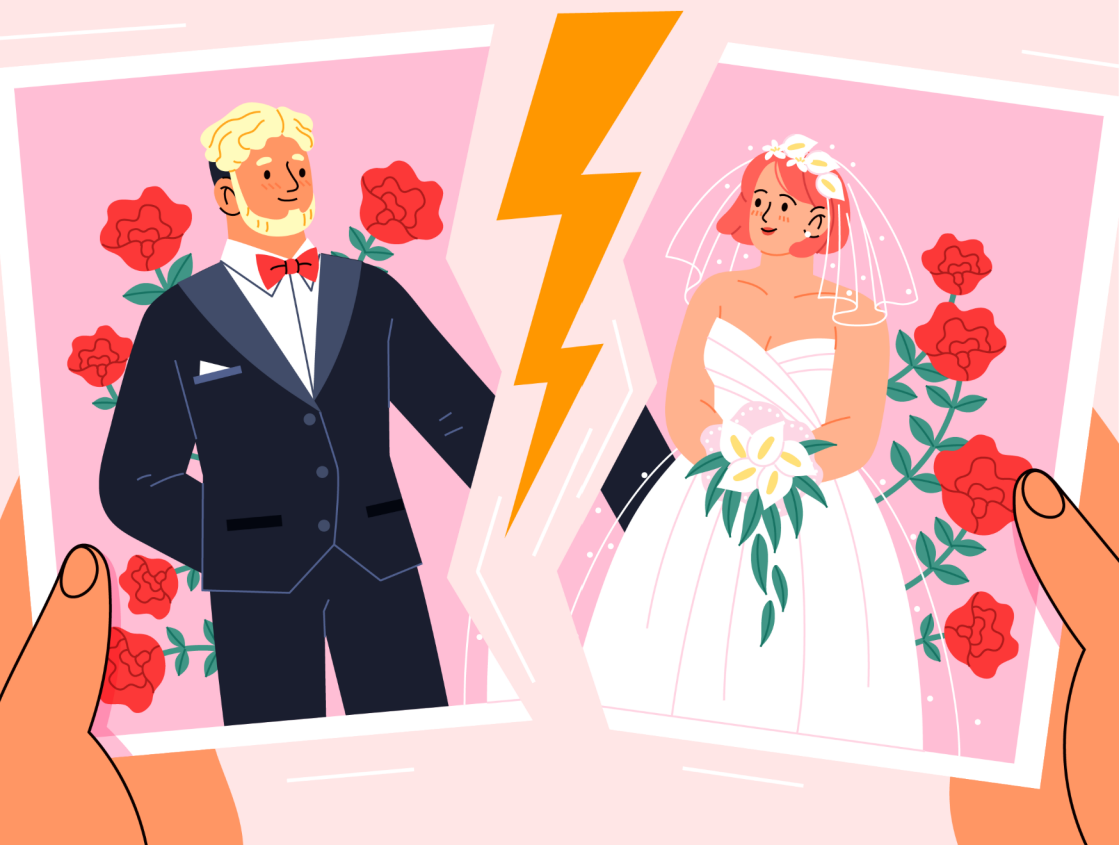


Aleksandra Przecherska - Baranowska

Przed ślubem nam się nie układało i... ślub nic nie zmienił

O miłości, rozwodach
i codzienności bez ściemy



Spis treści

Wstęp	5
Historie inne, a jednak te same	6
Pierwsza miłość jest po to, żeby się czegoś nauczyć, a nie żeby przetrwać	8
Podświadomość nigdy się nie myli	13
To tylko seks	16
Wszystko jest nasze, dopóki nie zacznie być moje i twoje	19
Kiedyś, jak mąż odchodził od żony, to brał czapkę i wychodził	23
Puzzle	24
„Z kim się żenisz, z tym się i powinowatych bierze.”	28
Gdy Sosnowiec spotyka Warszawę	30
„Nie bierzesz ślubu tylko z mężem, ale z całą jego rodziną”	38
„Pary, które kładą się spać o tej samej porze, dłużej są razem.”	44
Dziecko	46
Zaufanie buduje mosty, kontrola stawia filary	56
Niech miłość będzie wyborem, a nie przymusem	61



O autorce

Nazywam się Aleksandra Przecherska-Baranowska i jestem adwokatem. Blisko od 17 lat zajmuję się sprawami rodzinnymi. Jestem żoną i matką dwójki dzieci.

W rozmowach ze znajomymi często żartuję, że każdy z nas ma jakiś talent:

ktos pięknie maluje, ktoś inny świetnie tańczy... A ja? Ja długo nie potrafiłam wskazać swojego. Większość tego, co osiągnęłam w życiu, zawdzięczam ciężkiej pracy, a nie darowi z nieba.

Jednak z czasem zrozumiałam, że mam umiejętność, której wcześniej nie doceniałam. To zdolność obserwowania relacji. Potrafię dostrzec pęknięcia tam, gdzie zainteresowanym wciąż wydaje się, że wszystko jest w porządku. Widzę sygnały ostrzegawcze, które – jeśli zostaną zignorowane – nieuchronnie prowadzą do rozpadu związku.

Możecie wierzyć lub nie, ale wbrew pozorom związki rządzą się pewnymi uniwersalnymi zasadami. Są sygnały, które zawsze zwiastują kryzys – albo takie oddalenie, że trudno już mówić o prawdziwej bliskości.

Oddaję w Wasze ręce mój ebook. Z nadzieją, że choć jednej osobie pomoże spojrzeć na swoją relację w nowym świetle.

Wstęp

Siedzę na ławce przed salą rozpraw. Jak zawsze jestem wcześniej – punktualność mam we krwi. Samo zdążenie na czas bywa dla mnie najbardziej stresującą częścią dnia w sądzie. Spóźnienia nie toleruję, zwłaszcza w pracy. I chyba jeszcze nigdy nie weszłam na salę po czasie – to dla mnie niemal odruch, zawodowy instynkt.

Czekając, wracam myślami do czasów aplikacji. Do sal w sądzie okręgowym, gdzie odbywałam praktyki u sędziów rozwodowych. Wtedy po raz pierwszy zobaczyłam rozwody od kulis – ułożone w grafiku, jeden po drugim, dwanaście czy trzynaście w ciągu dnia. Patrzyłam z niedowierzaniem, jak sędzia powtarza te same formuły, raz za razem, jakby recytował mantrę. Niewiele wtedy rozumiałam – ani tego, dlaczego ludzie w ogóle się rozwodzą, ani tego, jak można przejść przez kilkanaście historii rozpadu związku w ciągu jednego dnia.

Siedzieliśmy z koleżankami i kolegami na ławkach dla publiczności. Obserwowaliśmy: młodych i starszych, rodziców i pary bez dzieci. Ludzi, którzy wyglądali na szczęśliwych, i takich, którzy od dawna nie potrafili spojrzeć na siebie. Do dziś pamiętam jedną młodą parę – posprzeczali się, w złości złożyli pozew, a teraz

stali tu, naprzeciwko siebie. Patrząc na nich, miałam ochotę wstać i zawołać: „*Nie róbcie tego, jesteście taką piękną parą!*”

Najbardziej zapadła mi jednak w pamięć inna chwila. Rozprawa kobiety, która rozwodziła się z mężem – mieli już wspólne dziecko. Sędzia, zgodnie z rutyną, zadała pytanie: „*Dlaczego zdecydowali się państwo na rozwód? Co się zmieniło po ślubie?*” Kobieta wzruszyła ramionami i odpowiedziała cicho:

„*Przed ślubem nam się nie układało... a ślub niczego nie zmienił.*”

Od tamtych praktyk minęło trzynaście lat, a to jedno zdanie wciąż dźwięczy mi w głowie.

Historie inne, a jednak te same

Dziś, gdy w kancelarii słucham opowieści kobiet i mężczyzn, coraz częściej mam wrażenie, że wszystkie historie – choć różne – są do siebie podobne. Zmienna bywa tylko scenografia: garnitur zamiast dżinsów, rude włosy zamiast blond, mieszkanie w kredycie zamiast domu po rodzicach.

Na ślubach, w których kiedyś bywałam częściej, zawsze brzmiała ta sama formuła: „*na całe życie, nigdy się nie rozstaniemy, zawsze razem*”. Kiedyś nikt jej nie kwestionował. Ale nie dlatego, że ludzie byli bardziej świadomi czy skłonni do ratowania związków. Po prostu rozwód nie mieścił się w społecznej normie. Kobiety były finansowo zależne, mężczyźni mniej obecni w życiu domowym, a zdrady czy puste relacje spychano pod dywan.

Dziś realia są inne. Ślub wciąż często bierzemy z tych samych powodów – bo „tak trzeba”, bo rodzina pyta, bo pojawiło się dziecko. Ale rozwód nie wywołuje już sensacji. W klasach szkolnych naszych dzieci coraz trudniej znaleźć rodzinę, która go nie przeszła. Kobiety są niezależne, a mężczyźni – zwłaszcza ci mocno zaangażowani w życie rodzinne – nie chcą być jedynymi żywicielami. Chcą partnerstwa, także w sferze finansów.

I to właśnie finanse stają się jednym z najgorętszych punktów zapalnych. „*Wszystko jest nasze*” – powtarzają młode pary w dniu ślubu. Ale rzadko kto myśli wtedy o tym, co to naprawdę znaczy – i jakie ma konsekwencje. Kredyty, wspólne rachunki, zakupy, pieniądze na własne przyjemności. To, co miało łączyć, często zaczyna dzielić.

Tuż obok pieniędzy stoi drugie tabu – seks. A raczej jego brak. Początkowo przykrywany zmęczeniem i codziennością, z czasem staje się bombą z opóźnionym zapłonem.

Na korytarzach sądowych te zdania powtarzają się jak echo, wypowiedane półgłosem, między jednym a drugim wezwaniem na salę:

– „Już nie mamy o czym rozmawiać.”

„Mijamy się.”

„Mieszkamy razem, ale jak współlokatorzy.”

„Nie pamiętam, kiedy ostatni raz seks uprawialiśmy”

„Do pracy mogłaby się/ mógłby się wreszcie zabrać, a nie tylko ja mam płacić za wszystko.”

Każde takie zdanie brzmi jak diagnoza. Relacja wypalona – albo taka, która nigdy naprawdę dobra nie była, a dopiero codzienność obnażyła jej słabości. Wszystko to, co latami spychano pod dywan, nagle staje się nie do udźwignięcia. I wtedy decyzja o rozwodzie przestaje być dramatem. Staje się naturalnym finałem.

Pierwsza miłość jest po to, żeby się czegoś nauczyć, a nie żeby przetrwać.

Mam bliską koleżankę – znają się z mężem od liceum. W tym roku minie siedemnaście lat, odkąd są razem. I choć jesteśmy w tym samym wieku, ich relacja wygląda jakby dopiero co zaczęła się na dobre. To jedna z nielicznych par, na które patrzę z autentycznym podziwem. Na imprezach czy wspólnych wyjściach trzymają się blisko, okazują sobie czułość, tańczą, żartują. Wyglądają, jakby najlepiej bawili się właśnie ze sobą.

Czasem obserwuję M. z boku – jej spojrzenie, gdy K., już po kilku szklaneczkach whisky, snuje swoje anegdoty. To spojrzenie, które mówi więcej niż słowa. I pomyślałam nieraz: chciałabym, żeby każdy po latach miał kogoś, kto tak na niego patrzy.

Kilka lat temu, jeszcze w czasach aplikacji, podczas jednej z rozmów, M. powiedziała mi rzecz, która została ze mną na długo:

– *Najważniejsze to rozwijać się w tym samym tempie i cały czas interesować sobą. Wychodzić razem. Dbać o to, by nie przestało nam się chcieć.*

Zachwycona ich energią, zapytałam kiedyś, jak to możliwe, że po tylu latach nadal świetnie wyglądają, dbają o siebie, jakby dopiero co się poznali. M. uśmiechnęła się i odpowiedziała krótko:

– *Bo żadne z nas nie brało siebie z dobrodziejstwem inwentarza. Musimy być dla siebie atrakcyjni cały czas. To, że*

jesteś w związku, nie oznacza, że możesz przestać się starać. Nic tu nie jest „zaklepane”.

To jedna z nielicznych par z tamtych czasów, która przetrwała. Większość takich związków nie ma szansy na dłuższą metę. W liceum dopiero zaczynamy uczyć się siebie. Jesteśmy kimś innym jako nastolatki, kimś innym na studiach, a jeszcze kimś innym, gdy wchodzimy w dorosłość i próbujemy odnaleźć się w pracy.

Nagle okazuje się, że nasze drogi biegną w różnych kierunkach. Jedno szuka rozwoju zawodowego, pasji, podróży, nowej drogi. Drugie marzy o spokoju w domu, bliskości rodziny, codzienności bez presji. Spotykają się wciąż pod tym samym dachem, ale każde mówi do drugiego w obcym języku. Nie rozumieją się, choć przecież kiedyś byli dla siebie całym światem. To właśnie moment, kiedy przestajemy rozwijać się w tym samym tempie i nie patrzymy już w tę samą stronę.

Na granicy między studiami a pierwszą pracą pojawia się jeszcze presja otoczenia. Rodzice pytają, znajomi wysyłają zaproszenia na śluby, a my – niepewni, pełni wątpliwości – składamy deklaracje, których ciężaru często nie jesteśmy świadomi. Ślub w wieku dwudziestu kilku lat wydaje się czymś oczywistym, naturalnym

krokiem. Dopiero kilka lat później, gdy codzienność obnaża wszystkie różnice, przychodzi rozwód.

I to właśnie takie rozstania bywają najtrudniejsze. Bo oprócz podziału majątku czy formalności w sądzie, jest jeszcze wspólna młodość – znajomi, którzy pamiętają nas od szesnastego roku życia, wspomnienia pierwszych wakacji, pierwszych studniówek. Rozstając się, nie tylko kończymy małżeństwo, ale też rozbieramy cegła po cegle całą historię, która zaczęła się w czasach, gdy jeszcze nie wiedzieliśmy, kim będziemy jako dorośli.

Samotność po takim rozwodzie smakuje inaczej. Nie jest tylko pustką w mieszkaniu – jest też ciszą po dawnym „my”, które przez lata wydawało się jedyną możliwą przyszłością.

Wracając jeszcze do M., bo to postać ważna w tej opowieści. Patrząc na nią, mam poczucie, że można się od niej wiele nauczyć. Ona i K. są dla siebie największą inspiracją. Ciągłe wpadają na nowe pomysły, nowe projekty, które realizują wspólnie. Umawiają się na randki – nie tylko od święta, ale regularnie, jakby to był stały element ich kalendarza.

M. dba o siebie, rozwija się zawodowo, ma swoje pasje. K. także świetnie wygląda, trzyma formę. Studiowali razem, a dziś pracują w tej samej branży, choć w różnych firmach. Może to właśnie jeden

z sekretów ich relacji – wspólny język, którym mogą mówić o pracy i świecie, a jednocześnie przestrzeń dla własnych osiągnięć.

Znam też inną parę – już nie osobiście, ale ich historia jest podobna. Razem od liceum, ta sama branża, tylko tym razem także wspólne miejsce pracy. Można pomyśleć: ryzykowne, bo przecież bycie ze sobą dwadzieścia cztery godziny na dobę grozi znużeniem. A jednak u nich działa. Może coś w tym jest, że kiedy wieczorem zamiast siedzieć nad projektem z koleżanką z działu, siadasz z własną żoną i razem szukacie rozwiązań – to buduje, zamiast dzielić

Pierwsza miłość uczy, prawdziwa miłość pracuje. Większość związków z liceum nie przechodzi próby czasu. Dorastamy, zmieniamy się, wybieramy inne drogi. Ale są pary, które przeczą tej regule.

Patrząc na M. i K., widzę, że recepta na trwały związek nie ma w sobie magii. To nie jest „szczęście” czy „trafienie na właściwą osobę”. To codzienna decyzja – żeby wciąż się sobą interesować, razem wychodzić, razem tworzyć, razem rozmawiać. To dbanie o siebie nawzajem i o siebie samego. To świadomość, że nic nie jest dane raz na zawsze.

Związek ratuje wspólny rozwój. Jeśli potrafimy rosnąć obok siebie, a nie w przeciwnych kierunkach, jeśli mamy wspólny język i chęć, by go używać – wtedy więź nie gaśnie. Ratuje też ciekawość drugiego człowieka. Ta sama, którą mieliśmy w liceum, gdy odkrywaliśmy siebie po raz pierwszy, tylko ubrana w dorosłość i doświadczenie.

Może to właśnie paradoks miłości: że przetrwać mogą nie ci, którzy „mieli szczęście”, ale ci, którzy codziennie to szczęście ze sobą budują.

Podświadomość nigdy się nie myli

Jestem ciekawa, co powiecie na tezę, że każda osoba, która wzięła ślub, a później się rozwiodła, podświadomie wiedziała, że tak to się skończy. Że to nie będzie miłość na całe życie. Brzmi szokująco?

Na poradach prawnych niemal zawsze słyszę te same słowa: „*Nie myślałam, że mnie to spotka*”, „*Nie spodziewałem się, że kiedyś tu trafię*”. Ludzie, którzy się rozwodzą, są smutni, przygaszeni, często przytłoczeni poczuciem porażki. Powtarzają, że miało być „na zawsze”. Że przecież ślub miał gwarantować trwałość.

A jednak, kiedy słucham ich historii, widzę wyraźnie: zawsze była gdzieś ta iskra przecucia. Jedna albo druga strona od początku wiedziała, że coś nie gra. Że to nie jest historia na całe życie. „Niemożliwe” – powiecie. Ale nic bardziej mylnego. Pamiętam jedną poradę. Kobieta z uporem powtarzała, że rozwód to dla niej szok. „*Nigdy się tego nie spodziewałam*” – zapewniała mnie, a może bardziej samą siebie. A kiedy już wychodziła, niemal w drzwiach, powiedziała cicho:

– *Wie pani, coś tak czułam, żeby nie brać jednak ślubu kościelnego... Bo przecież kościelny bierze się na całe życie.*

Kilka dni później spotkałam się z dobrym kolegą. Opowiadał mi o tym, jak się zakochał. Mówił, że tym razem to na pewno na zawsze. Że ze swoją partnerką chce się zestarzeć, bo nigdy wcześniej nikt nie był dla niego tak dobry. Przez godzinę słuchałam jego opowieści – o szczęściu, o planach, o tym, że „*to już ta jedyna*”. I cieszyłam się razem z nim, bo pamiętałam, jak nieszczęśliwy był w poprzedniej relacji.

Ale w międzyczasie zauważałam szczegóły, które nie pasowały do tej opowieści. Mój kolega chętnie pokazuje swoją nową miłość – ale tylko w „relacjach” na Instagramie, które znikają po 24 godzinach. Kiedyś wrzucał zdjęcia z wakacji na swój profil –

mówił, że to jego prywatny pamiętnik. Dziś już tego nie robi. Dlaczego? Można się domyślać. Jego partnerka pewnie chciałaby być częścią tego pamiętnika, a on najwyraźniej woli zostawić tam pustą przestrzeń.

Na koniec ustawił status „w związku”, by po chwili... ukryć go przed światem.

Dlaczego o tym piszę? Bo często nasze słowa nie idą w parze z naszymi czynami. Mój kolega – a życzę mu jak najlepiej – bardzo chce znaleźć miłość swojego życia. Chce wierzyć, że to już ta historia, że wszystko będzie inaczej niż poprzednio. I rzeczywiście – jego nowa partnerka jest dla niego dobra, dba o niego, interesuje się nim jak nikt wcześniej. Ale podświadomie zostawia sobie uchylone drzwi. Nie zamyka ich do końca, choćby w tak prozaicznych sprawach, jak ustawienia w mediach społecznościowych.

Czasami pragniemy czegoś tak mocno, że przestajemy słuchać własnej podświadomości. Bagatelizujemy jej głos, mówiąc sobie: „*to tylko wrażenie, tylko mi się wydaje*”. A ona zwykle wie szybciej niż my sami.

I może właśnie w tym tkwi paradoks miłości – że między słowami a gestami kryje się prawda, której nie chcemy zobaczyć.

Czasami boimy się własnej podświadomości. W obawie przed samotnością zostajemy w relacjach, które są „wystarczająco dobre”. Powtarzamy sobie, że wymyślamy, że przecież nie można całe życie czekać na „tę jedyną” miłość. Bo co, jeśli nigdy nie przyjdzie?

To tylko seks

Za każdym razem, gdy na Instagramie poruszam temat seksu w związku, wywołuję burzę. Lawinę komentarzy – często pełnych emocji, czasem krytycznych wobec mnie.

Pamiętam jedną szczególną wiadomość. Pod moim wpisem o tym, jak ważne jest regularne współżycie, pewna kobieta napisała:

„Jak pani sobie wyobraża, że ja mam się zmuszać do seksu, kiedy facet mnie wyzywa, wydziela mi pieniądze i obraża?”

Zatrzymałam się wtedy nad tym pytaniem, bo ono doskonale pokazuje, jak różnie rozumiemy słowo „związek”. Odpisałam jej krótko, ale szczerze: historie, o których mówię, nigdy nie dotyczą relacji przemocowych. Takie układy nie są prawdziwymi związkami. Jeśli jedno krzywdzi drugie, jeśli jest agresja,

poniżanie, kontrola – to nie partnerstwo. To więzienie. A z więzienia nie negocjuje się intymności. Z więzienia trzeba uciec.

Może właśnie dlatego temat seksu tak nas drażni – bo dotyczy miejsc, o których wolimy milczeć. Bo seks w związku często bywa problemem.

Nie ja jedna doświadczyłam tej fali krytyki. Kilka miesięcy temu podobną burzę w Internecie wywołała Mama Ginekolog w podcaście To.Jest.Ok.Podcast ([posłuchaj tutaj](#)), w którym poruszono temat *maintenance sex*. Powiedziała głośno coś, co w wielu domach jest codziennością: że czasami seks nie wynika z wielkiej ochoty, ale z troski o relację, z potrzeby bliskości – nawet jeśli nie zawsze towarzyszy temu ogromne pożądanie.

Internet zawrzał. W komentarzach zderzyły się dwa światy.

– „Wreszcie ktoś powiedział to głośno. Związek to też odpowiedzialność, a seks jest jednym ze sposobów dbania o bliskość.”

– „To promowanie seksu na siłę, wbrew sobie. Nikt nie powinien się zmuszać!”

Dyskusja pokazała jedno: że samo słowo *maintenance* działa na ludzi jak płachta na byka. Bo nie chcemy myśleć o seksie w kategoriach obowiązku. A przecież wcale nie o obowiązek chodzi,

tylko o świadomość, że bliskość jest jednym z fundamentów związku – i czasem trzeba o nią zadbać, tak samo jak o rozmowę czy wspólne spędzanie czasu.

Możemy być niedopasowani, mieć zupełnie inne potrzeby. Możemy uprawiać go rzadko i tłumaczyć to tym, że „dla nas liczą się inne rzeczy”. I rzeczywiście – jeśli oboje tak czujecie, to nie ma w tym nic złego. Ale z mojego doświadczenia wynika, że zazwyczaj jedna strona myśli inaczej. Jedna czuje się niespełniona, sfrustrowana, czasem wręcz odrzucona.

I tu zaczyna się cisza. Bo ciężko o tym rozmawiać w parze, zwłaszcza gdy w codziennym grafiku królują zmęczenie, obowiązki i dzieci. Kiedy do wieczora jesteśmy tak wyczerpani, że marzymy tylko o świętym spokoju.

Do tego dochodzi jeszcze ciało. Zwłaszcza kobiecie. Po porodzie, po zmianach, które przynosi macierzyństwo, trudno czasem patrzeć na siebie z dawną akceptacją. A jeśli nie czujemy się dobrze w swoim ciele, to jak mamy mówić o bliskości, o igraszkach, o namiętności?

W takich momentach seks staje się papierkiem lakmusowym związku. Odbija jak w lustrze to, co dzieje się pomiędzy partnerami: komunikację, zmęczenie, wzajemną troskę albo jej

brak. I właśnie dlatego rozmowa o nim budzi tyle emocji – bo w rzeczywistości nie jest rozmową o seksie, tylko o relacji.

I teraz zaskoczenie: coraz częściej to kobiety podejmują decyzję o rozstaniu właśnie z powodu braku seksu. Nie chcą życia „od wielkiego dzwona”. Chcą eksperymentować, odkrywać siebie na nowo w łóżku. To mężczyźni coraz częściej nie mają siły, tracą ochotę, spada im testosteron.

Pamiętam słowa jednej klientki: *„Ja jeszcze chcę poczuć ten szal. Biegać po łące, trzymając się za ręce. Nie godzę się na to, żeby miłość wyparowała z mojego życia.”*

Możemy zakłamywać rzeczywistość, powtarzać, że seks „nie jest aż tak ważny”. Ale prawda jest prosta: wiele związków rozpada się właśnie przez jego brak. Bo to właśnie seks odróżnia relację partnerską od przyjaźni. A jeśli go nie ma, to czy nie zostaje już tylko przyjaźń?

Wszystko jest nasze, dopóki nie zacznie być moje i twoje

„Wszystko jest nasze” – powtarzamy w dniu ślubu. Brzmi jak obietnica. Ale życie szybko pokazuje, że wspólnota nie zawsze oznacza równowagę.

Ten scenariusz znamy aż za dobrze. Jedno zarabia i utrzymuje rodzinę, drugie – nie pracuje zawodowo albo wykonuje zajęcie, które nie przynosi dużych pieniędzy. Dopóki oboje akceptują taki podział, wszystko działa bez zgrzytów.

Problem zaczyna się wtedy, gdy pojawiają się wzajemne wyrzuty. Osoba pracująca zawodowo spędza długie godziny w firmie, a wracając do domu słyszy: „teraz twoja kolej”. Partner, który cały dzień zajmował się dziećmi, też ma przecież prawo do odpoczynku.

I nagle rodzi się konflikt.

– *„Dlaczego po pracy mam od razu przejmować opiekę, skoro to ja dźwigam odpowiedzialność za utrzymanie domu?”*

– *„A ja? Myślisz, że cały dzień z dziećmi to wakacje?”*

Z czasem narasta zmęczenie, a pieniądze – które miały być „nasze” – stają się argumentem w codziennych kłótniach.

Finał takich układów bywa dramatyczny. Jedno z partnerów przez lata zajmuje się dziećmi. Drugie – utrzymuje dom. Dzieci dorastają,

a nagle okazuje się, że temu, kto został w domu, niezwykle trudno znaleźć dobrze płatną pracę czy wrócić na rynek po latach przerwy.

To zawsze wiąże się z ogromnym stresem. Bo każdy z nas ma swoje lęki, ograniczenia, obawy. Nie wszyscy chcą ścigać się w wyścigu szczurów – wielu wybiera rodzinę. I każdy ma do tego prawo. Tyle że... właśnie tutaj tkwi sedno.

Bo żyjąc we dwoje w dwóch różnych światach – jeden w świecie firmy i zarobków, drugi w świecie domu i dzieci – zaczynamy się mijać. Oddalać. A w końcu pojawiają się oskarżenia: – „*Ty zarabiasz, ale nie ma cię w domu.*”

– „*Ja utrzymuję rodzinę, a ty nie wnosisz nic finansowo.*”

Kiedy dochodzi do rozwodu, rachunek staje się bezlitosny. Osoba, która przez lata nie pracowała, zostaje bez środków do życia. Ta druga – utrzymująca rodzinę – deklaruje: „na dzieci tak, ale na byłą żonę czy męża? Już niekoniecznie”.

Wtedy pojawia się złudna pociecha: „*Dobry adwokat załatwi wysokie alimenty. On pójdzie z torbami, a ja będę zabezpieczona/y.*”

Rzeczywistość bywa inna. Trzeba mieć środki na „dobrego adwokata”. Trzeba przetrwać miesiące, a czasem lata, zanim zapadnie wyrok. A alimenty – nawet wysokie – rzadko dorównują dotychczasowemu poziomowi życia.

W jednej udało się uzyskać zabezpieczenie alimentów dla trzyosobowej rodziny – żony i dwójki dzieci – w wysokości 7500 zł. Sama byłam dumna z efektu, uważałam, że to dobry wynik. A jednak klientka skwitowała: „to wciąż za mało”, bo nie pozwala jej żyć na takim poziomie, do jakiego była przyzwyczajona.

W innej sprawie sąd zasądził alimenty wyłącznie na rzecz żony – aż 7000 zł miesięcznie. Małżeństwo trwało zaledwie dwa lata.

Takich przykładów mam więcej. I wszystkie pokazują jedno: orzeczenia bywają skrajnie różne. Bo każdy sędzia, choć kieruje się prawem, patrzy też na sprawę przez własny pryzmat. A pryzmat ten bywa bardzo ludzki.

Kiedy dzieci są już w wieku przedszkolnym czy szkolnym, sędziowie czasami pytają wprost:

– „*Dlaczego pani nie pracuje?*”

– „*Dlaczego pan nie podjął zatrudnienia?*”

Pamiętam jedną rozprawę. Sędzia spojrzał na kobietę, która przez lata wychowywała dzieci, i powiedział chłodno:

– „*W tym sądzie nie będzie tolerancji dla niepracowania.*”

Nie miało znaczenia, że chciała patrzeć, jak dorastają jej dzieci. Że całe lata poświęciła na dom. W oczach sądu nie był to „wkład”, tylko brak pracy zarobkowej.

Motywacje? Priorytety? Wartości? W wymiarze sprawiedliwości schodzą na drugi plan. Bo w sądzie rzadko wygrywa opowieść o wspólnocie. Tu liczą się liczby: przychody, wydatki, saldo. I czasem także są komentarze, które bolą jak policzek.

Kiedyś, jak mąż odchodził od żony, to brał czapkę i wychodził

Nie znałam wcześniej tego zdania. Usłyszałam je dopiero od mojego męża, a on – od swojej babci. Brzmi jak żart, a jednak w kilku słowach zawiera się cała rzeczywistość dawnych podziałów. Mężczyzna, odchodząc, zostawiał żonie dom, gospodarstwo i dzieci. Bo to one były „przypisane” do kobiety, do ogniska domowego. Sam wychodził właściwie tylko z tym, co miał na sobie.

Tyle że tamte czasy minęły. Bezpowrotnie.

Dziś trudno o takie rozwiązania. Choćby dlatego, że kiedyś kobiety po rozwodzie nie wchodziły już w nowe związki. Był zwyczaj, że rozwódka przekładała obrączkę z prawej na lewą rękę – symbol końca małżeństwa – i często do końca życia zostawała sama.

Teraz jest inaczej: rozwód nie oznacza końca, a coraz częściej staje się początkiem nowych, lepszych relacji. Ale były mąż rzadko kiedy życzy sobie, aby nowy partner żony mieszkał pod jego dachem i – dosłownie – na jego koszt. On sam także potrzebuje środków, by kupić dla siebie nowe lokum. Do tego dochodzi kwestia kredytu – zaciągniętego wspólnie, zazwyczaj na 25 czy 30 lat.

I tu zaczynają się schody. Bo spłata następuje według aktualnych cen rynkowych – a te szybują w górę w zawrotnym tempie. To, co dziesięć lat temu kosztowało „pół miliona”, dziś warte jest milion. I właśnie od tej kwoty liczy się podział.

Uwierzcie mi – mało kogo stać na takie rozliczenia. Zwłaszcza, gdy zarobki małżonków dzieli przepaść.

Puzzle

Często słyszymy, że w miłości chodzi o znalezienie „brakującego puzzla”. Albo że jesteśmy jak dwie połówki jabłka. Brzmi bardzo romantycznie – jakby gdzieś na świecie istniała osoba, która idealnie do nas pasuje i wystarczy ją tylko odnaleźć.

I rzeczywiście – w słowie „pasować” kryje się klucz. Spotykać się możemy z wieloma osobami. Mieszkać też. Ale żeby wejść w

relację „na całe życie”, potrzeba czegoś więcej. Kogoś, kto naprawdę pasuje do nas – i do kogo my pasujemy.

Śmieję się czasem z moim mężem, że dobrze, iż śluby zawiera się zazwyczaj przed trzydziestką. Bo gdybyśmy wtedy wiedzieli, ile rzeczy i szczegółów składa się na udany związek, pewnie nigdy nie zdecydowalibyśmy się stanąć na ślubnym kobiercu.

Statystyki mówią same za siebie. Większość par pobiera się przed trzydziestką, najczęściej po dwóch–trzech latach związku. To moment, w którym jesteśmy jeszcze bardzo młodzi, niewiele wiemy o sobie i o życiu. Zamiast chłodnej kalkulacji – rządzi nami optymizm. Zamiast pytań o przyszłość – deklaracje na całe życie.

„Przecież kocham go, kocham ją. Nigdy się nie rozstaniemy!” – powtarzamy, wierząc, że uczucie wystarczy

Powiem przewrotnie: miłość to za mało, by stworzyć udany związek.

W swoim życiu słyszałam już wiele recept na szczęście we dwoje. Jedne brzmiały jak zaklęcia – pełne obietnic i wiary, że wystarczy „kochać się bez końca”. Inne były zimne jak kalkulator – lista cech idealnego kandydata, analiza drzewa genealogicznego, a na końcu weryfikacja stanu konta w dniu ślubu.

I wiecie co? W każdej z tych recept było ziarno prawdy.

Pierwszą z nich usłyszałam jeszcze na studiach, od mojej przyjaciółki S. Siedziałyśmy w zadymionym pubie w rodzinnej miejscowości, przy kolejnym piwie, rozmawiając – jak zwykle – o chłopakach. Byłyśmy młode, pełne nadziei i marzeń, a temat „idealnej miłości” wracał do nas przy każdej takiej rozmowie.

S. opowiedziała mi, że jej babcia – jeszcze zanim poznała dziadka – modliła się codziennie o to, aby dostać dobrego męża i być z nim szczęśliwą. A potem dodała półżartem, półserio, że jej mama się nie modliła – i dobrego męża nie miała. Teraz przechodziła przez bolesny i wieloletni rozwód.

W mojej głowie pojawiły się dwie, zupełnie sprzeczne myśli. Pierwsza z nich: „to czyste szaleństwo, jak można wierzyć, że takie rzeczy się sprawdzają?”. I niemal natychmiast: „a może jednak coś w tym jest i warto prosić o tego dobrego męża?”.

I tak zaczęłam zauważać, że modlitwa, lista cech, czy po prostu świadome myśli, mają wspólny mianownik – pokazują nasze priorytety. A to, na czym się skupiamy, często kształtuje naszą rzeczywistość.

Dowód? Historia W. – bardzo bliskiej mi osoby.

Rozstała się mając 35 lat, po długim związku, w wieku, w którym znalezienie partnera „bez bagażu” w postaci dzieci, rozwodu,

kredytu – wydawało się niemal niemożliwe. Przez dwa lata porządkowała swoje życie: zamykała sprawy, oczyszczała mieszkanie, wracała do pasji. Najbliźsi twierdzili, że po prostu czeka, aż miłość sama ją znajdzie. Ona uważała, że szuka – tyle że inaczej.

W końcu przyjaciółki namówiły ją na rejestrację na portalu randkowym. A ponieważ W. była naukowcem i prymuską w każdej dziedzinie, do miłości też podeszła metodycznie: spisała na kartce, jakiego partnera szuka. Wrzuciła opis do szuflady, założyła konto i zaczęła spotkania. Było sporo rozczarowań, ale po kilku miesiącach znalazła... innego naukowca. W jej wieku, bez dzieci, bez rozwodów, bez bagażu.

Dwa lata później, gdy pakowała się do ślubu, wpadła na zapomnianą kartkę. Punkt po punkcie – wszystko się zgadzało.

I wtedy zrozumiała, że to nie magia. To raczej skupienie się na tym, czego naprawdę chcemy.

„Z kim się żenisz, z tym się i powinowatych bierze.”

Czy znaliście te powiedzenia: „Z kim się żenisz, z tym się i powinowatych bierze.” Albo to drugie, jeszcze bardziej dosadne: „Lepszy równy w polu, niż pan w domu.”

Brzmia jak relikty z minionych czasów. I zaraz ktoś się oburzy, że przecież nie żyjemy już w społeczeństwie klasowym, że dzisiaj bierzemy ślub z człowiekiem, a nie z jego rodziną... Tyle że... to największa iluzja. Bo w praktyce, tak naprawdę wchodzimy w związek nie tylko z partnerem czy partnerką, ale i z całym ich światem: z przyzwyczajeniami wyniesionymi z domu, z wartościami, które są wdrukowane, jak kod genetyczny, z rodzicami, którzy – czy tego chcemy, czy nie – mają swoje zdanie na temat wychowania wnuków, świątecznymi tradycjami czy tym, jak „powinno wyglądać małżeństwo”.

Te różnice najbardziej wychodzą na jaw, gdy pojawia się dziecko. „Jak otwieram usta, to słyszę moją matkę” – żartują kobiety, ale w tym żarcie jest mnóstwo prawdy. W momentach kryzysu, zmęczenia czy niepewności, automatycznie sięgamy do wzorców, które znamy z dzieciństwa. I wtedy nagle okazuje się, że różnice

między rodzinami – które wcześniej były niewidoczne – stają się codziennym polem minowym.

Gdy Sosnowiec spotyka Warszawę

Różnice wychodzą na jaw nawet wtedy, gdy dzielą nas zaledwie dwa województwa. Sama pochodzę ze Śląska, a dokładniej z Zagłębia, mój mąż z Warszawy – i na własnym przykładzie mogę powiedzieć, że to czasem więcej niż odległość w kilometrach.

Na początku myślałam, że te różnice wynikają po prostu z naszych charakterów. Że ja żyję bardziej tu i teraz, a on – planuje wszystko. Że to kwestia osobowości, a nie miejsca urodzenia. Ale im bardziej zgłębialiśmy temat, tym wyraźniej widać było, że to nie przypadek. To region, w którym się urodziliśmy, i korzenie naszych rodzin odciskają na nas swoje piętno.

Rodzina mojego męża to mieszanka – część ma chłopskie pochodzenie, część korzenie w Poznaniu. Sam wychowywał się na warszawskiej Sadybie. Ja – w śląskim domu, gdzie ciężka praca stanowiła o wartości człowieka.

Na co dzień te światy zderzają się w drobiazgach. Jeżeli wychodzę na spotkanie lub do kina, to muszę być zawsze przed czasem. Tak samo moi rodzice i siostra. Do tej pory byłam przekonana, że taka po prostu jestem. A jednak: to jest bardzo charakterystyczny stereotyp o Ślązakach – mówi się, że „Ślązak, jak się umawia na

piątą, to jest za piętnaście piątą” albo „Godzina piąto? To znaczy czwarto czterdzieści pięć”.

Także podejście do pracy jest bardzo charakterystyczne dla tego regionu. Nie mówię, że osoby z Warszawy nie mają takiego podejścia, ale praca jako wartość sama w sobie jest na szczycie hierarchii. Ślązacy od pokoleń mają bardzo charakterystyczne podejście do pracy – zakorzenione w kulturze, historii i tradycjach regionu. To podejście bywa wręcz legendarne i często jest podkreślane w rozmowach czy stereotypach. Można je opisać tak: Na Śląsku praca nie była tylko sposobem zarabiania, ale też powodem do dumy i tożsamości. Kopalnia, huta czy zakład – to było miejsce, gdzie mężczyzna budował swoją pozycję i szacunek. Mówiło się:

„Robota to je podstawa”

„Bez roboty ni ma kołocza” (bez pracy nie ma ciasta).

A po pracy najlepiej się położyć i odpocząć. I tutaj zaczyna się kolejny temat, który można ciągnąć bez końca – sposób odpoczynku po pracy.

Na Śląsku odpoczynek był prosty i jednoznaczny: po robocie należy się chwila wytchnienia. Kanapa, gazeta, telewizor, piwo.

Tyle wystarczało. Praca miała swoją świętość, ale odpoczynek też – bo regeneracja była częścią cyklu dnia.

W Warszawie widzę inne podejście – wolny czas to przestrzeń, którą trzeba zagospodarować: spotkania, kino, kurs języka, siłownia. Dla mojego męża siedzenie na kanapie przez dwie godziny to raczej marnowanie czasu, a nie wypoczynek.

Od zawsze odpoczynek kojarzy mi się z kanapą i dobrą książką. Jak dodam do tego kieliszek dobrego wina (który coraz częściej zastępuję kubkiem zielonej herbaty), to jest dla mnie idealny sposób na regenerację. A mój mąż? Ciągłe się rusza, ciągle coś robi. I uwierzcie mi – na co dzień to problem.

Lubię spędzać z nim czas. Pracujemy razem, potrafimy godzinami dyskutować o pracy i o życiu. To jest nasza siła – że wciąż mamy sobie coś do powiedzenia. Ale kiedy przychodzi do codzienności, szybko wychodzi na jaw, jak różni jesteśmy.

Szukamy złotego środka, ale prawda jest taka, że w każdym związku – tak jak w życiu – ktoś musi się bardziej dostosować. Bardzo często mówię ze śmiechem (choć to raczej śmiech przez łzy), że męczę się od samego patrzenia na to, ile on robi. On ciągle w ruchu, ciągle coś poprawia, organizuje, planuje.

Ja odpoczynek widzę na kanapie, z książką i kubkiem herbaty. On – w działaniu. I wiem, że w tej konkurencji mój sposób spędzania czasu wypada mniej atrakcyjnie. Tym bardziej, że mamy dzieci, które wolą aktywny wypoczynek. W efekcie to ja częściej odpuszczam i rezygnuję z własnego rytmu.

Oczywiście moglibyśmy spędzać czas osobno, każdy po swojemu. Ale nie chcemy tracić wspólnych chwil. Dlatego w dużej mierze rezygnuję z mojego kanapowego stylu odpoczynku. I tak, bywa, że jest to przedmiot sporu między nami.

Uwierzcie mi – znam pary, które tak bardzo różnił sposób spędzania wolnego czasu, że w końcu się rozstały. Bo kiedy sposób odpoczynku dzieli, para zaczyna spędzać ze sobą coraz mniej czasu. Nie każda para pracuje razem i jedyny czas jaki mamy, aby wspólnie spędzić, to właśnie ten czas wolny – czas relaksu.

Zresztą – to prowadzi nas do kolejnego tematu.

Wakacje. Pochodzę z regionu, który bez wątpienia był biedniejszy niż Warszawa. Tutaj wyznacznikiem luksusu była możliwość wyjazdu na wakacje nad morze -jeżeli ktokolwiek z mojej szkoły mógł pojechać właśnie nad morze - to oznaczało, że jego rodzinę stać na coś więcej. Na Śląsku, przez wiele lat priorytetem było „zapewnienie bytu”, a nie wyjazdu. W rodzinach robotniczych

urlop nie służył odpoczynkowi, tylko remontowi mieszkania, pracy w ogródku czy pomocy rodzinie. Dzieci wysyłano „na wieś do babci”, a dorośli zostawali, żeby „nie tracić pieniędzy na fanaberie”. Prawdziwym luksusem były wczasy zakładowe – w ośrodkach nad morzem, w górach czy nad jeziorami. Przydzielane przez kopalnie czy huty, często za symboliczną opłatą.

Mój mąż dorastał inaczej. Wakacje były czymś naturalnym, wpisanym w rytm roku. Rodzina planowała wyjazdy z wyprzedzeniem, układała kalendarz na cały rok. Dziś też ma ten zwyczaj – a ja, choć coraz częściej mu towarzyszę, nadal mam wrażenie, że wakacje to luksus, a nie oczywistość. Zawsze ciężko mi „znaleźć czas w kalendarzu” na wyjazd, bo przecież ciągle „nie jest dobry moment” i „zawsze coś jest do zrobienia”. Kiedyś mój mąż się dosłownie załamał, gdy powiedziałam mu, że mam wyrzuty sumienia, że nie pracuję, tylko jestem na urlopie.

A kierunek? Dla mnie – im bliżej domu, tym lepiej. Najlepiej, aby było to polskie morze. Dla niego – im bardziej egzotycznie, tym lepiej.

Uwierzcie mi, kiedy u ludzi mija faza „zakochania”, to sposób spędzania wolnego czasu i wyjazdy na wakacje stają się przedmiotem sporów. Jedni wolą góry i wędrówki, inni – all

inclusive. Czasem, kiedy czasu na urlop jest niewiele, spór o kierunek czy formę wyjazdu urasta do rangi poważnego konfliktu. A jeśli zaczyna się wyjeżdżać osobno? Koniec związku może nadejść szybciej niż później.

Podam kilka przykładów z życia. Jedna para przez lata jeździła wyłącznie do dwóch europejskich krajów, w kółko, jak na zapętleniu. To były ukochane kierunki dziewczyny, a dalekie, egzotyczne podróże zawsze pozostawały w sferze planów. Po rozstaniu, on w ciągu jednego roku zwiedził pół świata – i to dosłownie. Zupełnie tak, jakby chciał nadrobić wszystkie niewypowiedziane i niezrealizowane marzenia.

Inna para od lat spędza każde lato nad polskim morzem. Ona co roku powtarza, że „za rok to już na pewno pojedziemy do Hiszpanii, Chorwacji czy gdzieś dalej”. Ale cała rodzina wie, jak to się skończy – wrócą nad Bałtyk. To powtarzane obietnice brzmią już bardziej jak pocieszanie samej siebie niż realne plany. Bo jej mąż Bałtyk kocha – i kropka.

Jeszcze inni od lat jeżdżą pod namiot. Ona pakuje karimatę, śpiwór i garnki turystyczne, a on – w głowie widzi drinka z palemką i pięciogwiazdkowy hotel.

Ktoś powie: „jaki problem, raz pojechać pod namiot, a raz na all inclusive?”. Tutaj się trochę uśmiecham pod nosem. Znacie te memy o wspólnych wakacjach – dziecko skaczące z radości na lotnisku i dorosły ciągnący walizki, z podpisem „ja i moja dziewczyna w drodze na urlop”? Śmieszne, bo prawdziwe.

W przypadku wielu par wygląda to dokładnie tak: jedno planuje wszystko od A do Z – szuka lotów, układa grafik, rezerwuje noclegi – a drugie po prostu jedzie i uczestniczy. Bez większej refleksji, często nawet bez świadomości, ile pracy kryje się za tym, że wszystko działa jak w zegarku.

I wcale nie jest to żart, tylko codzienność wielu związków. Bardzo często słyszymy od drugiej połówki, gdy zgłaszamy swoje zastrzeżenia: „to zaplanuj te wakacje po swojemu”. I tak z roku na rok nic się nie zmienia – nie planujemy inaczej, tylko znów lądujemy na tym samym kempingu. A ci, którzy marzyli o drinkach z palemką, z czasem stają się ekspertami od survivalu.

Wakacje są jak papierek lakmusowy związku. Pokazują, kto naprawdę potrafi budować kompromisy, a kto utknął w schematach i cudzych przyzwyczajeniach. Bo podróż to nie tylko kierunek na mapie – to także lekcja o tym, jak bardzo jesteśmy w stanie się dla siebie nagiąć i ile jesteśmy gotowi odpuścić w imię relacji.

I tak jak w innych dziedzinach życia – kluczowe jest to, czy kompromis nie rodzi frustracji. Nie mam problemu z dopasowaniem się do stylu podróżowania drugiej osoby, o ile nie czuję, że rezygnuję z samej siebie. Problem zaczyna się dopiero wtedy, gdy jedna strona przez lata „odpuszcza”, gromadząc w sobie niewypowiedziane rozczarowanie, a druga traktuje to jako coś zupełnie naturalnego i nawet nie jest świadoma istnienia problemu, bo nikt nigdy go otwarcie nie nazwał.

A pieniądze? Tu różnice stają się wyjątkowo wyraźne. W śląskich i zagłębiowskich domach powtarzano od pokoleń: „pieniądz ciężko zarobiony – ciężko wydany”. Ale i tu były odcienie. Na Śląsku mocniej akcentowano samą pracę – że wartość człowieka mierzy się tym, ile potrafi się urobić. W Zagłębiu, gdzie robotnicza codzienność przeplatała się z handlem i „rosyjską szkołą życia”, częściej pojawiała się lekkość – filozofia „jakoś to będzie”. Zarabiano się ciężko, ale wydawało z rozmachem: na lepsze ubrania, gościnność, wspólne spotkania.

U mojego męża wyglądało to inaczej. Po jednej stronie – chłopska oszczędność i odkładanie „na gorsze czasy”. Po drugiej – poznańska skrupulatność, która kazała liczyć każdy grosz i planować każdy wydatek. Żadnego przypadku, żadnego „kupmy, bo mamy ochotę”. Pieniądz musiał pracować i wracać z procentem.

I tak w naszym domu ścierają się trzy podejścia do pieniędzy. Ja – z zagłębiowską lekkością w wydawaniu, ale i przekonaniem, że „najpierw trzeba się urobić, żeby zarobić”. On – z domową szkołą skrupulatności i kalkulacji, w której każdy wydatek musi być zaplanowany. Znam wiele osób w relacji, gdzie żadna ze stron nie chce dostosować się do swojego stylu podejścia do pieniędzy. W efekcie jedna zbiera na wkład własny (wspólny) na mieszkanie, a druga wydaje pieniądze na codzienne kawki i obiady na mieście, droższe ubrania. Te różnice w podejściu, jeżeli nie wypracujemy wspólnego złotego środka – a często tego nie robimy, prowadzi to silnego konfliktu.

Im dłużej ze sobą żyjemy, tym mocniej widzę, że nie tylko wybieramy partnera, ale też cały bagaż jego historii, rodzinnych zwyczajów i regionalnych kodów kulturowych.

„Nie bierzesz ślubu tylko z mężem, ale z całą jego rodziną”

„Żona to wybór, teściowa to dożywocie” – powtarzano w moim domu półzartem, półserio. Moja mama zawsze przestrzegała: *„Zwracaj uwagę, do jakiej rodziny wchodzisz. To wcale nie jest bez znaczenia.”*

I miała rację. Najwięcej prawdy widać wtedy, kiedy w związku pojawiają się dzieci. To moment, w którym rodzina zaczyna „być obecna” na zupełnie nowym poziomie.

Nagle okazuje się, że teściowa wie najlepiej, kiedy niemowlę powinno spać, co jeść i dlaczego czapeczka jest konieczna nawet przy 20 stopniach. Nagle trzeba postawić granice – czasem własnym rodzicom. Bo coś, co dla mnie było normą, dla mojego męża jest nie do przyjęcia. Albo odwrotnie – jego rodzice zachowują się „normalnie” w swoim rozumieniu, a ja odbieram to jako naruszanie naszej prywatności.

To jest prawdziwa rewolucja. I chyba każdy, kto przez to przeszedł, wie, że relacja z rodziną partnera może budować albo burzyć związek.

Rodzinne niedziele. Czasem wszystko zaczyna się niewinnie. Niedzielne obiady u rodziców. Z jednej strony – świetna sprawa. W tygodniu każdy zabiegany, nie ma czasu gotować, a tu stół pełen

jedzenia, atmosfera jak z dzieciństwa, okazja, by spotkać się z bliskimi.

Problem zaczyna się wtedy, gdy te obiady stają się normą. Kiedy każde „nie” jest odbierane jak afront. Wyjechaliście gdzieś w weekend? To w porządku. Ale jeśli jesteście w mieście, to oczekiwanie jest jasne: niedziela = obiad u rodziców.

I wtedy wchodzą słowa klucze:

- „Chodźmy, bo będzie im przykro.”
- „Przecież wszyscy przychodzą, tylko my mielibyśmy nie wpaść?”
- „Rodzeństwo też będzie, nie możemy się wyłamać”
- „Wpadniemy tylko na chwilę”.

Niby drobiazg, ale w praktyce staje się częścią rytuału, który zaczyna organizować wam życie. I tu pojawia się pytanie: gdzie kończy się rodzinne wsparcie i tradycja, a gdzie zaczyna obowiązek, który potrafi ciążyć bardziej niż praca w poniedziałek?

Uwierzcie mi, znam jednego pana, który w końcu znalazł na to własny sposób. Zaczął... jeździć do pracy w niedzielę. Nie dlatego, że rzeczywiście miał coś do zrobienia, ale po to, żeby tylko nie chodzić na te obiady. Praca stała się dla niego najlepszą wymówką.

I to nie jest odosobniony przypadek. Niedzielne rytuały, które miały scalać rodziny, często zamieniają się w obowiązek, od którego szuka się ucieczki. Raz w postaci nadgodzin, innym razem – nagłych „spraw do załatwienia”. Bo nikt nie chce być tym, kto powie wprost: „mam dość”.

Znam historię pewnego małżeństwa: niedzielne obiady u rodziców były tam świętością tak długo, że w końcu stały się ciężarem. On nie wytrzymał – zaczął wymyślać nadgodziny, dodatkowe obowiązki, aż w końcu... wyszedł z tej rodziny na dobre. Dzisiaj, jego była już żona, wciąż jeździ w każdą niedzielę na te same obiady.

Za każdym razem, gdy decydował się iść na niedzielne spotkanie – mimo że nie miał na to ochoty – jego żona wysyłała mu jasny komunikat: jakie są jej priorytety i na którym miejscu w hierarchii potrzeb znajduje się on i jego potrzeby. Zaraz po jej rodzinie. I po rosole.

Rodzinny stół to często test dla związku pod innym względem. Bo jak to zwykle bywa, często zaczyna się od drobiazgów. Teściowa rzuci „dobre słowo” – a to uszczypliwość, a to komentarz, że „u nas w domu robiło się to inaczej”, a czasem ostentacyjnie zwróci uwagę, że coś jest nie tak. I wiecie co? To

wcale nie te słowa mają największe znaczenie – najważniejsza jest reakcja partnera.

Solidarność czy milczenie? Najważniejsza próba w relacji. Jeśli twoja druga połówka stanie po twojej stronie, jasno postawi granicę i powie własnym rodzicom „stop” – to nawet najbardziej kąśliwe komentarze nie zostawią śladu. Ale jeśli zamiast tego zaczyna szukać złotego środka – żeby rodzice się nie obrazili, a mążonek nie czuł się zlekceważony – wtedy gotowa recepta na konflikt jest już na stole.

Przed wejściem do rodziny warto zwrócić uwagę na relacje rodzinne waszej drugiej połówki. Czasami na początku wydaje się, że to tylko „urocze przyzwyczajenia”, ale wystarczy jedno wspólne święto, żeby zrozumieć, w co się wchodzi.

Jak to mówi Magda Gessler w słynnej rolce na Instagramie, opisując rodzinne relacje i wspólne święta: *„No cóż, to miejsce jest kompletnie chore. A takich uzależnień międzyludzkich dawno nie widziałam. Pachnie patologią i to nie jest smaczne.”*

Brzmi ostro, ale uwierzcie – kiedy przy stole wigilijnym wybuchają od lat te same konflikty, kiedy rodzinne „żarty” ranią bardziej niż cieszą, a zamiast wsparcia dostajemy wieczne oceny i komentarze – to naprawdę nie jest smaczne.

Ważne jest, aby nasza druga połówka potrafiła postawić się swoim rodzicom – i żeby potrafiła stanąć w naszej obronie. Nieważne, czy w danej chwili mamy rację, czy nie – na zewnątrz powinniśmy być jednością. A dopiero w domu, za zamkniętymi drzwiami, możemy usłyszeć od partnera: „Słuchaj, tutaj przesadziłaś”.

Ta solidarność ma ogromne znaczenie. Bo jeśli przy rodzinnym stole zostajemy sami wobec uwag, docinków czy złośliwości, a nasza druga połówka siedzi cicho – to nie jest tylko kwestia jednej sytuacji. To pęknięcie, które z czasem może przerodzić się w trwałą rysę.

Jednocześnie nie chodzi o to, żeby całkowicie odcinać się od rodziny. To nigdy nie jest dobry pomysł. Chłodne, zdystansowane relacje są lepsze niż zerwanie kontaktu. Bo wyrwanie kogoś z jego rodzinnych korzeni to jak próba przesadzenia drzewa bez bryły ziemi – niby stoi, ale traci życiodajną siłę.

Dlatego warto szukać równowagi. Dbać o to, żeby „każdemu po równo” – trochę czasu dla rodziny męża i żony, trochę dla nas. Bo w tym wszystkim chodzi także o szczęście partnera. A szczęśliwy partner to szczęśliwy związek.

„Pary, które kładą się spać o tej samej porze, dłużej są razem.”

Po raz kolejny wracamy do mądrości ludowej. To zdanie usłyszałam kiedyś od babci mojego męża. I choć można wzruszyć ramionami, uznając je za tzw. starą śpiewkę bez pokrycia w rzeczywistości, ja – po latach obserwacji – wiem, że jest w tym sporo prawdy.

Znam wiele związków. Jedne wciąż trwają, inne się rozpadły. I kiedy słucham ich historii, coraz częściej widzę powtarzający się wzór: rytm dnia, godziny pracy i odpoczynku mogą być silniejszym testem dla związku, niż nam się wydaje.

Pamiętam jedną parę. Byli razem od bardzo młodego wieku. Ich relacja wydawała się stabilna, pełna przywiązania i wspólnych planów. Wszystko zmieniło się, gdy zaczęli pracować. On miał usystematyzowaną pracę biurową – wstawał rano, wracał wieczorem, zmęczony i gotowy do snu. Ona z kolei pracowała na zlecenia, często wieczorami. Problem w tym, że te zlecenia nie dawały wystarczających pieniędzy, by realnie dołożyć się do budżetu. Za całe utrzymanie domu odpowiadał on.

Z czasem zaczęło to rodzić napięcia – nie tylko finansowe, ale i emocjonalne. On padał zmęczony, ona dopiero wracała i potrzebowała odreagować. Ich rytm dnia kompletnie się rozjechał. Doszły konflikty o obowiązki. Ona powtarzała, że to ona sprząta i dba o mieszkanie. On ripostował: „sprzątanie to nie wszystko” – skoro on zarabia, to ona powinna przejąć więcej domowych zadań, choćby gotowanie, żeby nie żył „na pudełkach”. Ale i ten argument w końcu się rozsypał – część obowiązków przejęła pani do sprzątania. Ona zaś miała w ciągu dnia sporo wolnego, które wypełniała po swojemu: kawa z koleżanką, serial, spacer.

On wracał z pracy zmęczony, zirytowany, że dźwiga cały dom, a ona zdaje się żyć w innym rytmie. W jego oczach było to proste: skoro on utrzymuje dom, ona powinna się bardziej angażować. W jej oczach – dokładnie odwrotnie: obowiązki domowe to wspólna sprawa, a nie jej kara za niższe zarobki.

Wieczorami mijali się w drzwiach. On kładł się spać, ona dopiero wracała. On budził się o szóstej, ona przewracała się na drugi bok. Zaczęli żyć w dwóch różnych czasoprzestrzeniach.

Konflikt narastał. On mówił: „Po co taka praca, skoro nic nie zarabiasz, a i tak się mijamy?”. W jego słowach była troska – chciał, by znalazła zajęcie, które pozwoli im żyć razem, a nie obok siebie.

Ona jednak słyszała coś zupełnie innego: że on wolałby, żeby nie pracowała wcale. Dla niej jej tryb życia był wyborem – spokojnym, bez presji, z możliwością „cieszenia się dniem”.

Przy znajomych zaczęli sobie dogryzać. Ona wytykała mu, że nie potrafi nic ugotować. On z kolei rzucał docinki, że mogłaby wreszcie „wziąć się do roboty”. Coraz częściej unikali rozmów – ona, by nie słuchać jego pretensji, on, by nie wracać do pustego domu.

Rozmowy zamieniły się w monologi. Każde mówiło swoje, ale rozumiało coś innego. A łóżko – które kiedyś było miejscem bliskości – stało się symbolem ich rozłąki.

Jak łatwo się domyślić, para rozstała się. Choć wszystkim wokół wydawało się, że byli dla siebie stworzeni.

I wtedy przypomniało mi się zdanie babci mojego męża. Bo może w tej prostej zasadzie – „kładźcie się spać razem” – naprawdę kryje się cała prawda o bliskości.

Dziecko

Nie da się ukryć – najwięcej rozstań ma miejsce po urodzeniu dziecka. A jeśli pary się wtedy nie rozstają, to i tak przechodzą największe kryzysy swojego związku.

Dlaczego tak się dzieje? W naszej kulturze to zazwyczaj kobieta zostaje w domu – średnio minimum rok. W Warszawie czy w dużych miastach często nie ma wsparcia rodziny – babci, cioci, które mogłyby odciążyć w opiece. Kobieta zostaje więc sama, zamknięta w czterech ścianach, bez kontaktu z dorosłymi, z noworodkiem, który nie daje przespać nocy.

Mężczyzna w tym czasie chodzi do pracy. Wraca po całym dniu i... trafia do domu pełnego pretensji, frustracji i znużenia. Często też nie potrafi od razu nawiązać relacji z dzieckiem – bo ono całe dnie spędza z matką. A jeśli próbuje coś zrobić, to słyszy: „Nie tak”, „Źle go trzymasz”, „Nie tak go karmisz”. I tak krok po kroku, w dobrej wierze, bywa zniechęcany do angażowania się.

I trudno się dziwić matce – po całym dniu wyczerpania, braku snu, rozdrażnienia, łatwo o nerwową reakcję. Ale jeśli ojciec się nie zaangażuje, jeśli nie przejmie choć części obowiązków, a matka nie pozwoli mu wejść w tę rolę – kryzys murowany.

Uwierzcie mi, widziałam to w dziesiątkach spraw rozwodowych. Zbyt często kończy się tak samo: facet, który czuje się niepotrzebny

we własnym domu, znajduje „koleżankę” w pracy. Kogoś, kto go wysłucha, kto nie patrzy na niego z wyrzutem, kto „rozumie”. I tak zaczyna się historia, która dla wielu par staje się początkiem końca.

Kilka scenariuszy powtarza się po narodzinach dziecka niemal jak w schemacie. Jednym z najczęstszych jest ten: kobieta, zmęczona i osamotniona, nie chce być cały dzień sama w domu. Żeby móc choćby spokojnie się umyć czy przespać dwie godziny, prosi o pomoc swoją mamę. Babcia przyjeżdża – na chwilę, a często „na trochę dłużej”.

Opiekunki w Warszawie są tak drogie, że większość rodzin zwyczajnie nie może sobie na nie pozwolić. Mama zostaje więc w domu młodych rodziców. I choć intencje są najlepsze, szybko okazuje się, że to sytuacja niewygodna dla wszystkich: dla babci, która ma poczucie, że musi być zawsze na posterunku; dla córki, która balansuje między wdzięcznością a zależnością; i dla zięcia, który nagle traci poczucie, że to on jest głową rodziny.

Bo babcia ma coraz więcej do powiedzenia. A mąż? Coraz częściej słyszy: „Cicho, mama nam tak pomaga, nie denerwuj jej”. Granice zaczynają się zacierać. W domu nie ma już intymności, prywatności, swobody. Trzy osoby, trzy różne wizje wychowania i prowadzenia domu – i coraz więcej spieć.

W efekcie facet – zamiast czuć się częścią rodziny – zaczyna coraz mniej czasu spędzać w domu. Najpierw dłuższe godziny w pracy, potem dodatkowe spotkania czy „służbowe wyjścia”. I znów – krok po kroku – oddala się od swojej partnerki i dziecka.

Bardzo często, kiedy mija pierwszy rok, pojawia się kolejny problem. Kobieta nie wraca już do dotychczasowej pracy – czasem dlatego, że nie chce, a czasem dlatego, że nie ma, dokąd wracać. Po roku przerwy trudno znaleźć zatrudnienie, a jeszcze trudniej utrzymać je z małym dzieckiem u boku.

Bo dziecko – kiedy trafi do żłobka – zaczyna chorować. Co chwila zwolnienie, co chwila nieprzespane noce. Pracodawcy, nie oszukujmy się, nie patrzą na to wyrozumiale. A do tego dochodzą też emocje matek: lęk przed oddaniem dziecka pod opiekę obcych, pragnienie, żeby jeszcze trochę zostać razem, poczucie winy, że „zostawiam”.

Pamiętajcie też, że w Polsce trwa odwieczna wojna: żłobek kontra reszta świata. Ile razy słyszałam od innych matek, a nawet sama przerabiałam to w swojej głowie – „jestem złą matką, bo moje dziecko jest w żłobku, bo nie jestem z nim w domu”. Ile razy babcia czy dziadkowie próbowali wywierać presję, że żłobek to tak naprawdę „koszmar” dziecka i że rodzice robią mu krzywdę.

Kto nie ma dziecka – pewnie pomyśli, że przesadzam. Ale kto ma, ten wie, o czym mówię. To jest codzienność pełna nieustannych wyborów między poczuciem obowiązku, presją społeczną, a własnymi potrzebami.

I tu właśnie zaczynają się kolejne schody w relacji. Bo jeśli jedno z partnerów uważa, że żłobek to naturalny etap, a drugie – że to krzywda dla dziecka, to rodzi się nie tylko spór o wychowanie, ale też o wartości. A różnice w wartościach są dużo trudniejsze do pogodzenia niż kłótnia o to, kto wyniesie śmieci.

Coraz częściej kobiety nie chcą zostawać w domu na lata, chcą wracać do pracy, rozwijać się zawodowo i nie rezygnować z siebie. A mężczyźni? Nierzadko wciąż tkwią w dawnym schemacie – „ja zarabiam, ty zajmujesz się dziećmi” – i nie chcą dostosować się do nowych realiów, gdzie podział obowiązków musi być bardziej partnerski.

I tu pojawia się kolejne pytanie, które wraca jak bumerang: kto jest głównym żywicielem rodziny? Czyja praca jest „ważniejsza”? Ta, która daje pensję, czy ta, która zapewnia opiekę nad dzieckiem i utrzymuje dom w całości?

Możliwości jest wiele, ale efekt często ten sam – kobieta zostaje w domu dłużej niż początkowo zakładała. A jeśli mąż nie wspiera jej

w powrocie do pracy, jeśli nie przejmuje części obowiązków i nie buduje partnerskiej relacji, problem narasta. On zaczyna postrzegać siebie jako jedyne „żywiciela rodziny”, ona – jako tę, która straciła własną niezależność i coraz bardziej zamyka się w czterech ścianach.

Jest jeszcze jedna droga: kobieta wraca do pracy – ale nie do tej samej, prestiżowej czy dobrze płatnej, tylko do gorzej wynagradzanej, często mniej satysfakcjonującej. I wtedy zaczyna się prawdziwy maraton. Bo oprócz etatu w pracy, ma drugi – w domu. Chorujące dzieci, które trzeba odbierać z przedszkola albo żłobka, lekarze, sprzątanie, zakupy, pranie. A do tego obowiązki zawodowe, które nikt nie odpuści.

Wypalenie i frustracja murowane. To nie jest już tylko zmęczenie – to poczucie niesprawiedliwości, że mimo wysiłku wciąż „ciągnie dwa światy naraz”, a jej praca bywa traktowana jak hobby, które można odstawić na bok, gdy dziecko ma gorączkę.

A z tego punktu już naprawdę niedaleko do wzajemnych pretensji, frustracji i – w najgorszym scenariuszu – rozpadu związku.

Chcę jednak podkreślić, że to nie zawsze wygląda tak, jak w klasycznym schemacie „kobieta zostaje w domu, a mężczyzna

pracuje”. Słyszałam też historie opowiadane z perspektywy mężczyzny – i one pokazują inną twarz tego samego problemu.

On był bardzo zaangażowanym ojcem. Od początku przejmował część obowiązków, wstawał w nocy, chodził z dzieckiem do lekarza, a po pracy gotował obiad i sprzątał. Jego żona długo nie chciała wrócić do pracy, mimo że zachęcał ją, by się rozwijała, poszukała lepiej płatnego zajęcia, które dałoby jej poczucie niezależności. Kiedy dzieci podrosły i poszły do szkoły, wróciła do pracy – ale tylko na własnych warunkach. Nie chciała awansować, nie chciała kursów ani dodatkowych szkoleń. Mówiła, że to, co ma, jest wystarczające.

Problem w tym, że jej priorytetem było bezpieczeństwo i spokój, a jego – poczucie, że nie dźwiga wszystkiego sam. Bo on czuł na plecach ogromny ciężar finansowy. Utrzymywał dom, opłacał wszystkie rachunki, a do tego wykonywał większość codziennych obowiązków. I coraz częściej miał wrażenie, że jego żona „lubi drogie życie”, ale nie chce współuczestniczyć w odpowiedzialności za jego utrzymanie.

Mówił wprost: „Ja nie mam problemu, żeby harować, ale chcę wiedzieć, że ona też się stara. Że nie jestem sam na polu walki. Codziennie przekraczam swoje granice w pracy. Nie zawsze robię

to, co jest dla mnie wygodne i fajne. Tylko muszę zarabiać, bo mam rodzinę na utrzymaniu. Czasami nie śpię ze stresu, a ona uważa, że nie powinna robić nic wbrew sobie – ale drogie wakacje i drogie ciuchy same się kupują. Jej zdaniem moim obowiązkiem jest na to zarabiać. Dlaczego? Bo jestem facetem?”.

I tutaj podkreślę coś, co widzę na co dzień: każdy z nas jest inny. Każdy z nas wynosi z domu inny model podziału obowiązków – i każdy z tych modeli potrafi działać, jeśli obie strony naprawdę go akceptują.

Znam kobiety, które są niezależne finansowo, mają świetne stanowiska, własne pieniądze – ale nie wyobrażają sobie, by facet nie płacił za wszystko. Od wakacji po rachunek w restauracji. Dla ich partnerów z kolei byłoby ujmą na honorze, gdyby nie utrzymywali domu.

Znam też pary, które wszystko dzielą na pół. I pieniądze, i obowiązki. Raz on robi zakupy, raz ona, rachunki spłacają wspólnie, wakacje finansują razem.

Są tradycyjne modele – kobieta nie pracuje, zajmuje się domem, a mężczyzna bierze na siebie kwestie finansowe.

Są też domy, gdzie kobieta utrzymuje rodzinę, zajmuje się dziećmi, a mężczyzna – choć pracuje – zarabia dużo mniej. Zdarzają się

wreszcie takie układy, w których to on zarabia i dodatkowo przejmuje dużą część obowiązków domowych, a ona nie pracuje i... w domu też nie robi wiele.

I wiecie co? Wszystkie te modele mogą być dobre. Naprawdę. Warunek jest tylko jeden – muszą pasować obojgu partnerom.

Problem zaczyna się dopiero wtedy, gdy jedna ze stron gra w ten układ z przymusu, a nie z wyboru. Bo pamiętajcie – to, co pasowało nam dziesięć lat temu, dziś może budzić frustrację. Ludzie się zmieniają, świat się zmienia, my dojrzewamy, obserwujemy otoczenie. I coś, co kiedyś wydawało się naturalne, z czasem przestaje wystarczać.

Ważne jest też, byśmy umieli jasno komunikować, co nam nie pasuje. Nie półsłówkami, nie aluzjami, tylko wprost. Bo najgorsze, co może się wydarzyć, to sytuacja, w której każde z nas mówi – ale drugie musi się domyslać, o co tak naprawdę chodzi.

Pamiętajcie parę, o której pisałam wcześniej – tę, która chodziła spać o różnych porach? On – zmęczony i potrzebujący snu, ona – z wieczornymi zleceniami i przyzwyczajeniem do nocnego trybu życia, z dużą ilością wolnego czasu w ciągu dnia.

Na pozór rozmawiali o swoich potrzebach, ale w praktyce każde z nich słyszało coś innego. On nigdy nie powiedział jej wprost, że

jest zły, że czuje, iż przestała się rozwijać i marnuje życie na „nicnierobieniu”. Ona z kolei nigdy mu nie wyjaśniła, dlaczego taki model jej odpowiada i czemu nie chce pracować regularnie. On nie odważył się też wypowiedzieć na głos tego, co naprawdę go bolało: że kiedyś była dla niego inspiracją, najlepsza we wszystkim, motorem do działania. A teraz miał wrażenie, że odpuściła – i że nie chce już z nim razem biec.

A ona? Ona nie powiedziała mu, że sama nie wie, czego chce od życia. Że przywykła do bycia najlepszą, ale łatwo być najlepszą w szkole – tam wystarczyło się postarać, żeby dostać „piątkę”. W prawdziwym życiu ta zasada już nie działa. Była delikatna, bała się krytyki i odrzucenia – więc milczała. On też milczał. I zamiast rozwiązania, pojawiała się coraz więcej domysłów, niedopowiedzeń i frustracji. Każde z nich gromadziło swoje pretensje w ciszy, aż ta cisza zaczęła ich od siebie oddzielać.

I to jest właśnie mechanizm, który potrafi podkopać nawet najlepszy związek. Nie same różnice w podejściu – tylko brak jasnego komunikatu, w którym wprost mówimy, czego potrzebujemy i co nas boli.

Zaufanie buduje mosty, kontrola stawia filary

Ważne jest też, żebyśmy wiedzieli, na czym stoimy, i świadomie podejmowali decyzję o tym, w jakim układzie chcemy żyć. Do adwokata większość ludzi trafia dopiero wtedy, kiedy związek się kończy. I dopiero wtedy okazuje się, że nie mają nawet środków na opłacenie wizyty – bo przez całe lata to mąż albo żona „trzymali pieniądze” i powtarzali: *„nigdy cię nie opuszczę”*.

Ile razy słyszałam od klientów: *„Zrezygnowałam z wizyty u lekarza, bo musiałam pójść na poradę prawną”*. Kiedyś takie zdania wprawiały mnie w zakłopotanie. Dziś – niestety – wiem, że to codzienność wielu osób.

Od razu uprzedzę komentarze – to jest moja praca. Każdego roku prowadzę kilka spraw **pro bono**. To sprawy osób w naprawdę trudnej sytuacji: rodziców wychowujących dzieci z niepełnosprawnościami, ludzi pracujących fizycznie, którzy ledwo wiążą koniec z końcem. Im zawsze staram się pomóc i mogą liczyć na moje wsparcie. Ale liczba takich spraw musi być ograniczona – inaczej nie mogłabym pracować zawodowo, wykonywać swoich usług na najwyższym poziomie i skutecznie pomagać innym klientom.

Warto sprawdzić wcześniej. Czy dom, w którym mieszkam, rzeczywiście jest nasz wspólny? Czy naprawdę mam do niego połowę prawa, czy tylko tak mi się wydaje, bo stoi w nim moja szafa? Może mąż kupił go z darowizny i formalnie nigdy nie był częścią majątku wspólnego, a ja jestem współwłaścicielem tylko „na papierze”?

Żeby lepiej zrozumieć, o co chodzi, opowiem historię.

Spotkałam po latach koleżankę. Już w pierwszych zdaniach rozmowy pochwaliła się: „Kupiliśmy z partnerem dom. Ledwo nam się udało”. Okazało się, że jej partner sprzedał swoje mieszkanie i za te pieniądze kupili wspólną nieruchomość. Dla niej to była inwestycja życia – symbol stabilizacji i bezpieczeństwa. Cieszyła się, że mają wreszcie coś wspólnego. Opowiadała dalej, że od kilku lat nie pracuje zawodowo, bo zajmuje się dwójką dzieci. Słuchałam i od razu zapaliła mi się w głowie czerwona lampka. O ojcu swoich dzieci mówiła „partner” – czyli nie mieli ślubu.

Powiedziała „kupiliśmy dom”, więc pomyślałam, że pewnie wpisał ją do aktu notarialnego jako współwłaścicielkę.

Problem w tym, że wszystkie środki na zakup pochodziły wyłącznie z jego majątku osobistego – ze sprzedaży mieszkania kupionego jeszcze przed związkiem. A to oznaczało, że nawet jeśli

w akcie notarialnym dom figurował jako wspólny, przy ewentualnym rozstaniu ktoś mógłby podważyć, czy naprawdę należy do obojga. Fakty były brutalne: to on wniósł pieniądze, a jej udział istniał tylko na papierze.

Gdyby naprawdę chciał, żeby bez żadnych wątpliwości stała się współwłaścicielką, musiałby przekazać jej połowę domu w formie darowizny. Ale wtedy musieliby zapłacić podatek – bo prawnie byli dla siebie obcymi osobami. Nietrudno się domyślić, że raczej na taki krok się nie zdecydowali.

Koleżanka przyznała, że od kilku lat nie pracuje zawodowo. To tylko pogłębiało ryzyko – skoro nie zarabiała, trudno byłoby jej wykazać, że dołożyła się choćby do urządzenia domu. A bez tego trudno mówić nawet o roszczeniu o zwrot nakładów, czyli w dużym skrócie środków na remont mieszkania.

Na pierwszy rzut oka wyglądało to jak historia o stabilizacji i wymarzonym wspólnym gniazdku. W rzeczywistości – jak tykająca bomba, która mogła wybuchnąć w każdej chwili. Nie wytrzymałam i szybko zakończyłam rozmowę. Za każdym razem, gdy słyszę takie opowieści, mam ochotę krzyczeć: „Uważajcie!”. Ale wiem – to nie moje życie. Nie mogę się wtrącać.

A samochód? Jasne, kupiony za wspólne pieniądze, ale w dowodzie rejestracyjnym widnieje tylko jedno nazwisko. Do czasu podziału majątku będzie z niego korzystać wyłącznie właściciel wpisany w dokumentach.

Pamiętam klientkę, która boleśnie przekonała się, jak wielka jest różnica między tym, co zapisane w kodeksie, a tym, co dzieje się w praktyce. Dużo czytała w Internecie i była pewna, że zna przepisy na tyle dobrze, że one ją obronią. „Skoro kodeks mówi jedno, to rzeczywistość musi się dostosować” – powtarzała z uporem.

Problemem okazał się samochód. Ukochane auto, które dostała od męża jako prezent urodzinowy. Jeździła nim codziennie, traktowała jak swoją własność. Gdy przyszło do rozwodu, była przekonana, że skoro to prezent, to jej – i że ma pełne prawo dalej nim jeździć.

Tyle że w dowodzie rejestracyjnym widniało tylko jedno nazwisko – jej męża. Na papierze to on był właścicielem. Ona mogła walczyć o połowę albo nawet o całość, ale dopiero w sądzie, przy podziale majątku. Do tego czasu – mogła pisać pisma, wzywać policję, tłumaczyć, że to jej samochód. I co? I nic.

Policja rozkładała ręce: „proszę to załatwiać w sądzie”. Mąż nie oddawał kluczyków. Ona miała rację w teorii, ale w praktyce została kompletnie bezradna. Auto stało pod jego blokiem, a ona

musiała dojeżdżać komunikacją – bo nie miała ani dostępu do samochodu, ani pieniędzy, by kupić drugie.

Tu właśnie widać, jak ważne są detale. Auto rzeczywiście w połowie (a może nawet w całości) należało do niej – ale tylko w sensie prawnym, na etapie podziału. Dopóki nie zapadnie orzeczenie sądu, dopóty realna władza nad kluczykami należała wyłącznie do męża.

Dla niej to był szok. Wierzyła w przepisy i kodeksy, a życie brutalnie zweryfikowało, że **prawo to jedno, praktyka to drugie**. I że w małżeństwie nie wystarczy ufać słowom „przecież nigdy cię nie opuszczę”. Trzeba wiedzieć, jak wygląda sytuacja prawna – czy dom faktycznie jest wspólny, na kogo zarejestrowany jest samochód, kto ma kontrolę nad kontem.

Bo inaczej można obudzić się z dnia na dzień w sytuacji, w której nie ma się ani środków na życie, ani dostępu do rzeczy, które jeszcze wczoraj wydawały się „nasze”.

Do tego była „za bogata” na bezpłatną pomoc prawną i jednocześnie „za biedna”, żeby pozwolić sobie na pełne wsparcie profesjonalnej kancelarii. Utknęła między tym, co mówi prawo, a tym, jak prawo działa w praktyce.

Niech miłość będzie wyborem, a nie przymusem

Kończę pisać tego ebooka, siedząc na kanapie w domu. Projekt swojego tekstu w pierwszej kolejności dałam do przeczytania mężowi. Jak zawsze od razu usłyszałam pierwsze, najcenniejsze pytanie:

– „Do czego ma prowadzić lektura tego tekstu?”

Uśmiechnęłam się pod nosem. Bo to pytanie chodzi po mojej głowie od dawna. Chciałabym napisać, że ten tekst to „5 sposobów jak mieć dobry związek” albo „Zrób te 5 rzeczy, a znajdziesz księcia/ księżniczkę z bajki” albo „Zwróć uwagę na te 5 rzeczy, a nigdy nie zostaniesz po rozwodzie na lodzie”. Może taki tytuł wybiorę, aby więcej osób sięgnęło do tego ebooka.

Intencją tego tekstu nie jest nawracanie nikogo. Jego lektura nie zmieni czyjegoś nastawienia ani sposobu szukania miłości. Każdy z nas jest inny, każdy ma inne potrzeby, każdy trochę oszukuje samego siebie – szczególnie wtedy, gdy chodzi o uczucia.

Pisząc, chcę tylko pokazać, że stary świat naszych rodziców już nie istnieje. Świat, w którym rozwód był wstydem, a „aż śmierć nas nie rozłączy” oznaczało bardziej przymus niż obietnicę. To była

rzeczywistość, w której trwaliśmy w niskiej jakości relacjach, bo tak wypadło.

Dziś jest inaczej. Rozwód nie musi być końcem – coraz częściej staje się początkiem nowych, lepszych relacji. Miłość nie jest już dana raz na zawsze, tylko wymaga codziennej troski i uwagi. Ale przede wszystkim – wymaga niezależności.

Bo miłość to wspólnota. Ale wolność daje nam niezależność.

I właśnie dlatego powinniśmy pamiętać: kochajmy się z wyboru, a nie z przymusu.
